

KA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH

AUGUST WILKOŃSKI

WSPOMNIENIA SZKOLNE  
POMYŁKI  
UŁAMEK ZE STAREJ GAWĘDY

Wydanie drugie



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA ===== LUBLIN ===== ŁÓDŹ  
KRAKÓW ===== G. GEBETHNER I SPÓŁKA  
NEW YORK THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.  
POZNAŃ — KSIĘGARNIA M. NIEMIERKIEWICZA

PRINTED IN POLAND

Cena 15 fen., 24 hal

52. Chłowska N. Prządki. — Ze wspomnień dzie  
 go wieku  
 53. Sienkiewicz H. Z puszczy Białowieskiej . . . . .  
 — Niewola tatarska . . . . .  
 — Pójdźmy za Nim! . . . . .  
 54. Głowski Jui. Wawrzyńcowie . . . . .  
 55. Sienkiewicz H. Za chlebem . . . . .  
 56. Sienkiewicz H. Z pamiętnika nauczyciela poznańsk.  
 — Sielanka. — Legenda żeglarska . . . . .  
 57. Siemleński L. Portret króla Jana. Posłowie siewierscy  
 — Wieczór u gen. Kopcza. — Wiązanka konwali  
 58. Sienkiewicz H. Orso. — Sachem . . . . .  
 59. Gomulcki W. Oracz. — Filemon i Baucis. — Nie-  
 przespiany sen pani Maciejowej . . . . .  
 60. Kosłakiewicz W. Sarna. — Literatura mojej żony. —  
 Nabożeństwo majowe . . . . .  
 61. Sewer. Łusia Burlak . . . . .  
 62. — Wiosna . . . . .  
 63. — Dola . . . . .  
 64. Dygasiński A. Co się dzieje w gniazdach . . . . .  
 65. Sieroszawski W. Kulisi . . . . .  
 66. — W ofierze bogom . . . . .  
 67. — Bokser (Uang-Ming Tse) . . . . .  
 68. Kaczkowski Z. Bitwa o chorążankę . . . . .  
 69. Prus B. Cieniec. Z legend dawnego Egiptu. W górach  
 70. Konopńska M. Wojciech Zapala . . . . .  
 71. — W Winiarskim forcie . . . . .  
 72. — Urbanowa . . . . .  
 73. — Miłosierdzie gminy . . . . .  
 74. Lenartowicz T. Wybór poezyi . . . . .  
 75. Kondratowicz L. (Wł. Syrokomla). Wybór poezyi  
 76. — Janko Cmentarnik . . . . .  
 77. Hoffmanowa Klem. Dziennik Franciszki Krasieńskiej  
 78. — Listy Elżbiety Rzeczyckiej . . . . .  
 79. Czernadź M. (Bierzyński). Nieplakany . . . . .  
 80. — Kancelista . . . . .  
 81. Kraszewski J. I. Żywot i przygody imci Pana Józefa  
 z Gozda, Hrabi Gozdckiego. Pan Starosta Kaulow-  
 ski . . . . .  
 82. — Jak się dawniej listy pisały . . . . .  
 83. — Psiarek . . . . .  
 84. Wilczyński Ad. Przykładna kara . . . . .  
 85. Chodźko Ign. Samowar . . . . .  
 86. — Domek mojego dziadka. Śmierć mojego dzia-  
 dka . . . . .  
 87. — Boruny . . . . .  
 88. Górski K. M. Biblioman . . . . .  
 89. Lenartowicz T. Zachwycenie . . . . .  
 90. Korzeniowski J. Karpacze górale . . . . .  
 Kondratowicz L. (Wł. Syrokomla). Ułaz . . . . .

AUGUST WILKOŃSKI

WSPOMNIENIA SZKOLNE  
 POMYŁKI  
 UŁAMEK ZE STAREJ GAWĘDY

Wydanie drugie



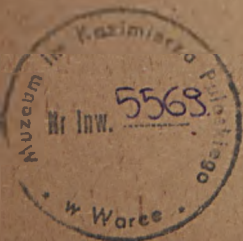
WARSZAWA  
 NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
 KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

## Wspomnienie szkolne.

---

»Co się dzieje w szkole, nie powiadaj, choćby cię smażono w smole«. — Nie wiem, czy dzieci i teraz podobnej trzymają się zasady, ale za lat mojego pędractwa w wielkim mieliśmy poszanowaniu owe głębokiej myśli wyrazy, i zaprawdę tego, co tu dzisiaj z całą otwartością opowiem — przed dwudziestu laty, za wszystkie skarby świata nie byłbym wyjawiał.

Byłem dopiero w klasie trzeciej, oddziale pierwszym, gdy przybył z Gettyngi, (nie pamiętam czy doktor filozofii, czy nie doktor — mieliśmy ich bowiem czterech pomiędzy naszymi profesorami) pan Berendt, i objął katedrę literatury niemieckiej w gimnazyum poznańskim. Mąż ten pełen nauki i nieco zgarbionej postaci nosił frak, spodnie, kamizelkę i chustkę czarnego koloru, a u kamasy sięgających po kolana, było na każdej nodze 7 dużych stalowych guzików, mówię wyraźnie siedm, bom je nieraz rachował przemyśliwając, jakimby to sposobem kilka oberznąć — zdawało mi się, że





taka sprawka mogłaby sprawę moją figlarną na zawsze utrwalić:

»O! ty co bujasz wesóło po jasnej niebios przestrzeni,  
A z pełnego chluby czoła pasmo rozwijasz promieni,  
Serce cię moje chwyciło.  
Wysoka chwaliło«.

Co za tryumf!... gdybym był zdołał chociaż jeden guzik w obliczu całej klasy od nienawistnych nam kamaszów odłączyć. — Już nawet skradalem się raz ku katedrze, ale obejrzał się czujnego ucha profesor, i znikła wielkiego czynu sposobność.

Lecz wracam do głównego mej powieści celu — siódmego stycznia, nazajutrz po Trzech Królach, przybiegłem rychło do zakrystyi, pragnąc służyć do mszy studenckiej — a lubo nie bardzom dobrze w *ministranturze* odpowiadał, i tylko końcówki: »*per Dominum Deum nostrum, »sanctae!*« głośno wymawiałem — jednakże natomiast potężnym dzwonkiem słynnie machać potrafiłem.

Patrzę, aż tu już pięciu kandydatów do tego zaszczytu klóci się o pierwszeństwo. Jakoś się pogodzili i zaczęła się rozmowa o studenckiej biedzie.

— Rozumiesz ty, co ten Berendt szwargocze? »*die erste Abtheilung der deutschen Literatur »ruhig!*« »*ruhig!*«<sup>1)</sup> i zawsze »*ruhig!*« zupełnie jak gdyby kto szczotką po uszach drapał.

— Mój Boże! ksiądz Przybylski jak krzyknął »hajdamaku«, na całą godzinę było cicho i cho-

<sup>1)</sup> pierwszy oddział literatury niemieckiej cicho, cicho (niem.).

ciaż często dał żelaznych karmelków<sup>1)</sup> milej przecież bywało.

— Wiesz co, Kaulfuss to wcale dobrze uczy.

— Ale jaki on też uczony! Kaulfuss i Kasius należą podobno do najlepszych filologów.

— Albo to nasz poczciwy Buchowski nie tęgi matematyk?

— Pewno, że i on bardzo dobrze uczy — wiesz, ja Buchowskiego tak kocham jak mego własnego ojca.

— Lecz kto z was Berendta rozumie? — zabawnie, on ma nas czegoś nauczyć, a my jego języka nie rozumiemy, żeby on to po polsku mówił — »pierwszy oddział literatury niemieckiej poczyna się...«

— Ej gadasz, on nas pierwiej powinien nauczyć gramatyki, wokabul, a potem dopiero rozprawiać o literaturze. — Słuchaj Auguście, zrobmy mu dzisiaj figła, jak on zacznie »*ruhig!*« to my się odezwijmy »*stille!*«<sup>2)</sup>, tylko tak, aby żadnego nie

<sup>1)</sup> Był przez rektora szkół poznańskich, księdza Przybylskiego, wymierzany rodzaj kary osobliwszej. W klasie czy na ulicy, kiedy chłopca na gorącym swawoli pochwycił uczynku — zwykł był mawiać: »dostałem świeże lesłowskie z Warszawy karmelki«, i serdecznie kluczem, który zawsze przy sobie nosił, nastukał się po palcach chłopczyka. Bolało to, pamiętam, bardzo. Panie świeć nad jego poczciwą duszą! Miał on ksiądz nader groźną minę — marszczył czoło, jeżył czuprynę, fukał, dawał karmelki aż czasem łapka spuchła. a przecież my go z całej duszy, z całego serca kochali, i wiedzieliśmy dobrze, za co go kochamy.

<sup>2)</sup> cicho (niem.).

spozstrzegł, i możnaby wywoskować ławki i puścić piszczonego, ty wiesz?...

— Dobrze, dobrze, wiem — masz wosk?

— Albo go tu mało w zakrystyi, tylko poprośmy Walentego.

— Mój kochany Walenty dajcie, dajcie mnie i mnie. — Jakoż w krótkiej chwili powolny zakrystyan dał każdemu z nas po odrobinie żółtego wosku.

Poważne ozwały się organy, miły śpiew chóralny rozległ się po świątyni pańskiej i w tym tak znakomicie pysznym przybytku Boga, we farze poznańskiej — siedmset z górą uczniów modliło się w pokorze do Pana nad Pany, aby im dał zdrowie, naukę, bojaźń Boską, przyjaźń ludzką, aby ich rodziców od złego chronił, nauczycielom troski i znoje nagrodził. Byłem i ja wpośród modlących się, zapomniałem o Berencie — myśl pozbyła się swawoli, pobożnie patrzyłem na obrządek Mszy świętej i dopiero gdyśmy parami w bramę szkolną wchodzili, szepnął mi Stasio — »czy masz wosk?« — »mam«, odrzekłem i żądza pustoty przebiegła żyły moje.

Od 8-ej do 9-ej był język polski, poprzednik kochanego i wielce zacnego Królikowskiego odczytywał nam pięknym głosem wzorowe utwory Karpińskiego; słuchaliśmy z wdzięcznością bo ksiądz Antosiewicz obrał tak lubie obrazy dla serc naszych młodzieńczych, czynił objaśnienia, porównania z innymi pisarzami, i szybko, mile, na skrzydlach, krócioczną ubiegła godzina. Gorliwy w służbie stary pedel Schal zmianę godzin dzwonkiem

ogłosił; wytoczył się poważnie szanowny ksiądz Antosiewicz, a miejsce jego zajął profesor Berendt. Porachowałem u prawej nogi guziki, było ich jak dawniej nie mniej, nie więcej jak siedm, rachuję u lewej, nie dowierzam oczom moim! o radości! — sześć tylko. Prawił tymczasem pan Berendt o Wielandzie, myśmy wosk z kieszonek wydobyli.

— »*Ruhig*« — »*Stille!*« ozwało się po różnych klasy stronach kilka piskliwych głosików.

— *Was ist das?* <sup>1)</sup>

Harmonia woskowa zagrała.

— »*Du ungezogener Bube!*« <sup>2)</sup> — schwycił mnie za kołnierz granatowego spencerka i silnie za drzwi wyrzucił. Świeże powietrze owiało mnie. Michalowska, żona stróża szkolnego rozśmiała się, mówiąc: »już to znów na pokucie?« Usiadłem sobie przy progu w kuczki, słuchając, jak się tam moi koledzy popisują i kiedym się dziwił spokojności, jaka w klasie panowała, ksiądz Antosiewicz, przechadzający się po dziedzińcu do mnie zagadał: »A cóż wileczku, wygnali cię z kniei — pewnoś baranka dusił?« — Nie, księżu profesorze! jam nic nie robił (i skrzywiłem twarz moją w grymas płaczu), tylko pan profesor Berendt opowiadał nam, że Kopernik był Niemcem, a wszakże ksiądz profesor nauczał nas, że Kopernik był Polakiem«. Zarumienił się ksiądz Antosiewicz, roztworzył na rozcież drzwi klasy i popychając mnie naprzód, z przyciskiem wyrzekł: »Kopernik był Polakiem —

<sup>1)</sup> co to takiego (niem.).

<sup>2)</sup> ty niegrzeczny smarkaczu (niem.).



jest to rzeczą dowiedzioną i żadnej nie ulegającą wątpliwości — proszę pana profesora tak grubych błędów historycznych nie objawiać, którymby może dano wiarę w Getyndze ale nie u nas...« i wychodząc drzwi za sobą zatrzasnął. Berendt stał nieporuszony i niemy; łoskot grzmotu nie jest tak głośnym, jak był śmiech i wrzask siedmdziesięciu chłopców. »Aha, sehen Sie, Herr Professor? <sup>1)</sup> nie będę marzył na zimnie«, i wyszczerzyłem zęby. Tu już hałas wzmógł się do najwyższej potęgi; ławki trzeszczały, nogi tupwały, okna się trzęsły, lecz zarazem i ja znów powtórnie za drzwi wyleciałem.

— Cóż? — zapytał, przybiegając do mnie obrońca polskiego Kopernika. — »Książd profesor ledwie wyszedł, on zaraz powtórzył, że Kopernik był Niemcem i że się Polacy niesłusznie przyznawają...« Nie dał mi dokończyć książd dziekan, trzęsąc się ze złości wnosi mnie za kołnierz napowrót do klasy i w najwyższym uniesieniu zawołał: »Dzieci! dopóki ja żyję, nikt was fałszem karmić nie będzie, a jeżeli nam pozazdrościli...« »Was wollen Sie damit sagen, Herr College?... — »Kopernik war ein Pole!« <sup>2)</sup>). Wtem ukazał się ówczesny rektor Kaufuss; rzecz się wyjaśniła — cenzor klasy zdał świadectwo, pogodzili się przeciwnicy i gdy mnie do komórki ciągniono, słyszałem tylko już lekką zwadę, o rodowód Kopernika.

Co się następnie stało, pozwólcie, łaskawi

<sup>1)</sup> aha! widzi pan, panie profesorze! (niem.).

<sup>2)</sup> »Co pan chcesz przez to powiedzieć, panie kolego!« Kopernik był Polakiem! (niem.).

czytelnicy, że zamilezę, bo chociaż to już temu lat dwadzieścia i kilka, ale przecież głęboką myśl tych wyrazów »co się dzieje w szkole, nie powiadaj, choćby cię smażono w smole!« do niektórych przy najmniej okoliczności i dzisiaj zastosować muszę.

Długo — długo po tem zdarzeniu jeszcze i na uniwersytecie Wrocławskim moi z owych lat współuczniowie pytali mnie często »czy Kopernik był Polakiem?«

Patrząc tu w Warszawie na pomnik tego wielkiego męża, szybko omijam to miejsce. — Wczoraj przy ulicy Senatorskiej spytał mnie jeden z dawnych znajomych »czy Kopernik był Polakiem«. — Lzy zapelnily oczy moje, bylo to wspomnienie z lat daleko ubieglych, z lat mlodości i szczęścia.

## Pomyłki.

Jeden z moich sąsiadów pokrewnych, któren na winotrysk chorował, przypomniał sobie w najśroźszym bólu — mówię w najśroźszym, bom już wielokrotnie słyszał, że lubo winotrysk czyli szanowna podagra po palcach tylko lechce, to przecież sprawia cierpienia srogie, śroźsze i najśroźsze; ale wracam do rzeczy: — on tedy chory wujaszek przypomniał sobie, że należało się ostatecznie rozmówić z panem Jerzym Rzepnickim, który życzył nabyć od niego prawo do spadku po ś. p. ks. biskupie K...

— Auguście, proszę Cię, bądź łaskaw odwiedzić dzisiaj p. Rzepnickiego, mieszka przy ulicy Szczygłej w domu pana Cwajera na drugiem piętrze; oświadczyć mu, że — królowo nieba i ziemi, bolil bolil aj! aj... że tedy ja cię upoważniam — Łukasz! dawaj świeże okładanie — do zawarcia — o jerum, jerum! a czy mnie Bóg ciężko skarał, — ugody, jaką tylko za dobrą uznasz — nie wytrzymam — przecież znasz cały stan rzeczy. — Łukasz! poproś pana konsyliarza chociaż na chwilkę — od

10.000 zlr. nie odstępować — powiedz mu, iżby przyjąć raczył, bo oszaleję — pieniądze są mi potrzebne, staraj się więc skończyć — czegoż stoisz dardanie? mówiłem — jerum! jerum! jerum! — proś go, aby do mnie zajrzał — więc tedy, panie Auguście, zrób, jak ci się najlepiej — ssy! — wydawać będzie.

Ja do Rzepnickiego, Łukasz do doktora wyszliśmy razem.

O Szczyglą ulicę nie długom się dopytywał, ale o panu Rzepnickim nikt nie słyszał, nazwiska właściciela domu zapomniałem na śmierć: chodzę więc i pytam od drzwi do drzwi »Czy tu nie mieszka pan Jerzy Rzepnicki, podobno w domu pana Tyrása...« — Nie mieszka, proszę zamknąć. — A mróz 20 stopni dochodził; — zziębły, posłyszawszy rozmaite grzeczności, nie osobiwie obowiązujące, już miałem do wujaszka z niczem powracać, kiedy jakiś poczciwy, z niesporów wracający starzec, któren, lubo tępy miał słuch, ale moje wyraźne na ucho zapytanie zrozumiał, — z dobrocią odrzekł:

— Ha, asindzi zapewne się mylisz — to nie pan Jerzy Rzepnicki ale pan Jerzy Brukwicki mieszka w domu pana Cwajera tu naprzeciwno na pierwszym piętrze.

— Tak, tak u Cwajera, — dziękuję, bardzo dziękuję.

— Za mało.

I pobiegłem do wskazanego domu, pewny, że wujaszek z bólu nazwiska przemienił, — zwłaszcza, że brukiew i rzepa są jarzyny blisko ze sobą spokrewnione; — znałem zaś stan rzeczy spadku po



ś. p. ks. biskupie K... ale o Rzepnickim, mającym prawo wuja mego nabywać, słyszałem dzisiaj po raz pierwszy. — Niemylnie będzie to Brukwicki, pomyślałem sobie, dzwoniąc na 1-szem piętrze.

Z wygodnego krzesła powstał na moje przywitanie urodziwy mężczyzna i przede wszystkim siedzieć prosił.

— Jestem Au... Wi...; przychodzę z polecenia wuja mojego, pana stolnika Myszkowskiego, iżbym się z szanownym panem dobrodziejem w wiadomym interesie rozmówił; pan stolnik, będąc cierpiącym nie mógł przybyć osobiście, mnie więc do ostatecznego ukończenia upoważnił.

— Ja już wczoraj ostatnią cenę podałem i rozumiem, że pan Szczurkowski, chciałem mówić Myszkowski, jak się dowiaduję, stolnik a szanowny wuj pana dobrodzieja, uznać we mnie winien bardzo szczodrego nabywcę; — wątpię, aby kto inny więcej dać mógł. Tysiąc pięćset złp. za przedmiot nie ciekawy, potrzebujący znacznego nakładu, jest...

— Jakto? pan dobrodziej tylko 1.500 złp. dać chcesz?

— Ani grosza więcej.

— Mam poleczone od 10.000 złp. nie odstępować, znajduję więc tak znaczną różnicę, że...

— Dziesięć tysięcy! a przecież szanowny wuj pana dobrodzieja spuścił mi już na 2.000 złp.

— Chybaby się w czasie napadu bólów dzisiaj pomylił.

— O! nie wątpię panie dobrodzieju, że jest pomyłka.

Podczas naszej rozmowy w przyległym pokoju padło dziecko pana Brukwickiego i przeraźliwie płakać poczęło; widziałem troskliwą niespokojność ojca, pożegnałem się więc i pośpieszyłem do wuja, iżby się o pomyłce w danem mi poleceniu przekonać.

Za powrotem zastałem wujaszka dobrodzieja krzyczącego w niebogłosey; — obecny konsyliarz zalecał cierpliwość, — Łukasz nuzię owijał.

— A cóż, mówileś z nim? — Ośle! nie tak mocno!

— Mówilem, wujaszku dobrodzieju, ale zaszła pomyłka ze strony kochanego wujaszka.

— Jaka pomyłka?...

— Wujaszek dobrodziej oznaczył dzisiaj 10.000 złp. jako ilość, od której odstępować nie miałem.

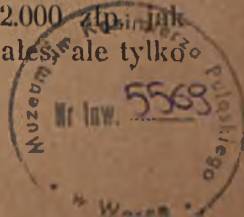
— Tak jest, pozostaje mu 4.000 kapitału i trzechletnie procenta w zysku.

— Ale on twierdzi, że przedmiot nie ciekawy, że potrzeba znacznego nakładu...

— Co to nie ciekawy! — jakiego nakładu?

Doktor się oddalił: — ja, widząc, że wujowi, skłonnemu do gniewu, żyły na czolo wystąpiły, nie chcąc się przyznać, że tych słów pana Brukwickiego nie zrozumiał, tak dalej rzecz improwizowałem:

— Nie ciekawy — to jest, że na tem kupnie wiele zyskać nie może, że jeszcze potrzeba ponieść wiele opłat i z tych powodów nie 2.000 złp. jak wuj dobrodziej wczoraj od niego żądał, ale tylko 1.500 złp. dać chce.





— Kto? co? ja 2.000 złp. żądałem? — zerwał się wujaszek na równe nogi, wyskoczył z łóżka, potknął się i upadł jak długi na ziemię. Krzyk, z bólu i ze złości pochodzący zappełnił dom cały, — przybiegli sąsiedzi, — Łukasz trząsał się ze strachu, — jam oniemiał. Z trudnością położyliśmy chorego na łóżko, — nieboże zacięło zęby, — oczy w ślup postawiło i rozumieliśmy, że skona, kiedy nagle zawołał:

— Pisz mi natychmiast do tego lotra. — Poskoczyłem do stolika i chwytając za pióro, byłem w pogotowiu.

— Mości panie Rzepnicki.

— Brukwicki, wujaszku.

— Rzepnicki mówię, wrzasnął wujaszek i dyktował dalej — (jam przecież napisał Brukwicki).

— Nie sądziłem nigdy, abyś panie — ssy, ssy, dyabli podagrę stworzyli — tak dalece pozwalał sobie uzuchwalać się w żartach, ssy — najniedogodniej do mej osoby zastosowanych. Chęć uwiedzenia mojego siostrzeńca, którego zapewnileś, że — ssy — nie wytrzymam, jak mi Bóg miły, — tylko 2.000 złp. żądałem, wykrywa jego charakter w świetle, więcej niż niekorzystnem, bo odsłania jego nikczemność lichwiarską. Pospieszam więc donieść panu, że nie tylko za 2.000, ale teraz i za 10.000 i za żadną cenę praw moich panu nie odstąpię. Proszę nadto zapewnić się, że przykro mi jest — ssy! — żem z panem znajomość zabrał — ssy — od której zechciej mnie pan uwolnić, jak ja — ssy — pana zupełnie od niej uwalniam. Dnia 20 De-

*cembris* 1826 r. — podpisz: Myszkowski stolnik i niechaj Łukasz natychmiast odniesie.

Powyższy list z pominięciem wykrzykników do podagry zapieczętowałem i w przekonaniu, że wujaszek z bólu znów nazwiska blizkobrzmiaące przemienia — panu Brukwickiemu odesłałem.

W godzinę powraca Łukasz z odpowiedzią.

— Czytaj, panie Anguście, co ten błazen napisał!

— Wielmożnemu JMC. Panu Szczurkowskiemu, Stolnikowi, Wielmożnemu Panu Dobrodziejowi w miejscu. — Omylił się co do nazwiska, uczynił to już i ustnie gdym był u niego.

— Niechaj jeno ozdrowieję, już ja go nauczę strzedz się takich pomyłek. Żeby mi się w myszą jamę schował — jak Bóg Bogiem — znajdę — o znajdę a to mi mości dobrodzieju — urwisz lada co...

*Wielmożny Mości Dobrodzieju!*

Napaść WM. Pana Dobrodzieja jest dla mnie niezrozumiałą, — honor mój przecież nie dozwala rzeczy tej bez żądania zadośćuczynienia pominąć; — przedsięwezmę więc kroki, które go dostatecznie przekonają, że mnie bezkarnie obrażać nie wolno. — Zarzut, że podstępnie zapewniałem, jakobyś WM. Pan Dobrodziej wczoraj tylko 2.000 złp. żądał, dowodzi albo jego krótkiej pamięci, lub też jest skutkiem błędu źle wyrachowanych zamiarów wywyższenia wartości miernego dzieła. Ograniczam

się na tych kilku wyrazach z obawy, abym w sprawie oburzeniu granic przyzwoitości nie przestąpił, bo tylko na drodze honorowej obraży mojego honoru poszukiwać nawykły jestem.

<sup>20</sup>/<sub>12</sub> 26.

*Jerzy Brukwicki.*

Nie dosłyszał zapewne wujaszek nazwiska, bo podniósłszy się z leżenia, zawołał:

— A to mi beczelnik ów tedy, mości dobrodzieju, psubrat Rzepnicki! — on jeszcze zadośćuczynienia żąda? — on o honorze belkoce? patrzaj... gdybym nie miał jego własnoręcznych listów, wmówiłby we mnie, mości dobrodzieju, że ja za 2.000 sprzedać chciałem. Jak Bóg Bogiem, takiej beczelności nie daruję.

Jeszcze ostatni wyraz z ust wujaszka nie spłynął, otwierają się drzwi, wchodzi człowiek wysoki, chudy, z rzyżym włosom, z nieśmiałym wejściem lecz z grubą trzcina w ręku, u góry i u dołu okutą.

Na widok tego jegomości schwycił wujaszek za karabelę, która za łóżkiem stała, dobył z pochwy i podniósł do góry, jakoby czekając na zbliżenie się zuchwalca. — Z iskrzących się oczu wujaszka wyczytałem, że o żartach nie myśli; rozumiejąc zatem, iż sprawa ta jest niebezpieczną, nie mając co lepszego — krzesło oburącz ująłem i w groźnej stanąłem postaci. Stanął i przybyły, popatrzył na nas, lewo w tył skręcił i jednym krokiem już był u drzwi, ale go Łukasz na rozkaz swojego pana: »trzymaj« za kołnierz i za gardło przyczłapał.

Zaprawdę, moje nieudolne pióro skreślić tego nie może, najdoskonalszy artysta dramatyczny załedwoby tę całą grę twarzy nieszczęśliwego wyraził, jaką ryżowłosy jegomość ze silnej Łukasza dłoni wytwarzał: — oczy, śmigom wietrznego młyna podrzeźniając, szybkim kołem biegały; ząb o ząb tłókł się jak na tartaku; — drgające usta chęć do mowy zdradzały, ale nieruchomy język nie przychodził w pomoc; — cienkie zaś nogi trzęsły się jak wiatrem miotana trzcina; — długie ręce cisnęły kieszeń do piersi, kieszeń papierami ładowną.

— Więc to ja 2,000 złp. żądałem? więc waszmość jeszcze zadośćuczynienie mieć chcesz i moje mieszkanie nachodzisz? — wymówił z gniewem wujaszek i zadziawszy na siebie ferezyę, podpierając się karabelą, do nieboraka się zbliżył. Łukasz na rozkaz pana zwolnił dłoni, — ryżowłosy ciężko odetchnął i do nóg się wuja mego rzucił, wołając: — »weź, panie, pieniądze a daruj życie!«

— Ja twoje pieniądze! życie! — czyś panie oszalał!... — Stawając w obronie mej własnej osoby życia cię jeszcze pozbawiać nie myślę; — ale za najście domu, zaiste, godzien jesteś wszelkiej surowości prawa.

— A toćże ja nie nadchodzę — tylko wedle przyrzeczenia przybyłem z pieniędzmi, iżby interes ukończyć.

— Po napisaniu odgrózek?... więc i własnego listu wyprzeć się zdolnym będziesz?

— Jakiego listu?...

Tu wujaszek list co dopiero odebrany, pod nos mu przytknął.



— Panie dobrodzieju! to nie moje pismo; — to pan Brukwicki, właściciel księgarni w tymże co i ja, domu mieszkający, ośmielił się wielmożnemu panu dobrodziejowi ubliżyć.

Wujaszek spojrzął na podpis, — jam zadrżał. Rzecz się wyjaśniła, — niestety! dla pana Rzepnickiego nieco za późno. Tysiące przez stolnika uścisków, przeproszeń zastąpiło gorliwą służbistość Łukasza.

W godzinę potem wujaszek, zapominając podagry, na klęczkach niemal pił za zdrowie niesłusznie pokrzywdzonego. Rejent spisywał przelew praw stolnika za sumę 9.000 złp. na rzecz pana Rzepnickiego z całkowitego spadku po śp. ks. biskupie K... jaki dla Myszkowskiego przypadał. — a przezemnie uproszony na świadka podwójnej zgody a do trzeciej osobiście należący Brukwicki zanosił się od śmiechu, że autora Szczurkowskiego za stolnika Myszkowskiego pomieniał. Jam był główną całego zamieszania przyczyną; — za karę więc posłano mnie i po autora. Znalazłem go szczęśliwie, nie dał się długo prosić; — i późno w noc Brukwicki, Rzepnicki, Myszkowski i Szczurkowski i dzielny w podobnej okoliczności rejent N... pomyłkę moją w starym węgrzynie uwielbiali; — dopomagałem, ile sił młodzieńczych starczyło.

## Ułamek ze starej gawędy.

»Trafił frant na franta  
I wyrznął mu kuranta«.  
(Z dawnej tragedyi).

— Nie płacz, Marysiu! a toćże on z żoną i z maluczką druchną twoją dobił się żyw i cały w spokojne uchronie i pono mu do śmierci biedy nie będzie.

— Więc z pewnością wuj nasz królewskie dziecię w żłobie znalazł? <sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Jest tu mowa o Maryi, córce Stanisława Leszczyńskiego, później żonie Ludwika XV., króla francuskiego, którą w ucieczce z powodu nagłego napadu jazdy nieprzyjacielskiej wpośród trwogi i pośpiechu z żłobu, gdzie maleńka jeszcze podówczas w poduszce złożoną była wzięć zapomniano. Dopiero po ujechaniu pół mili spostrzegła królowa, że jej najmilsze jedyne dziecię pozostało w stajni. Płacz i rozpacz królowej granic nie znały; Kazimierz Borzęcki, jeden z obywateli województwa poznańskiego, kłóren do orszaku straży należał, zawraca konia, wbiega do napelnionej dragonami nieprzyjacielskimi stajni, porywa śpiącą Marynię i szczęśliwie z nią do matki powraca. Poniatowskiemu czyn ten wielu przypisuje; z papierów przecież prababki mojej przekonałem się, że rzeczywiście Borzęcki był tym szlachetnym i odważnym zbawcą dziecięcia.

— Moja córko! i Dzieciątko Jezus w żłobie złożonem było. Kto wie, może też i królownie za to niemowlęce tułactwo Bóg świętą przyszłość przeznaczył i po długiem życiu do chwały swojej ją zawezwie.

— Ojczy, powiedzcie, ażali to prawda, że król był tak miłego oblicza, iż patrząc się na niego, ledwie, że serce nie wyskoczyło...

— Już tego i poganin nie zaprzeczy, rybeńko. że nasz Leszczyński ślicznością osoby swojej jaśniał pomiędzy panami jak księżyc na nowiu wpośród gwiazd pomniejszych; — a pod czaszką mądrość a w piersi miał poczciwość. — Bóg daj! aby ten Sas chocia w części był mu podobien.

I rzewnie stary szlachcic płakać począł, a matka do córki rzekła: Także aspanna nie ma co lepszego robić, jeno rodzica smucić wspomnieniem naszego pana.

— Jejmość nie strofuj mi dziecka; Maryelna wie dobrze, że ojcu najmilej, kiedy o królu jego mości mówić może; a czyliż to nie król Leszczyński, który nam przywrócił rodzinne sioło, — wszakżesz wszystko, co posiadamy, jemu winni jesteśmy, — ha! nawet i ten sygnet jego jest darem.

Sędziwy Borzęcki ucałował na palcu swoim rzadkiej piękności krwawnik suto, w czyste złoto objęty i, otarłszy zroszone powieki, w następujące odezwał się słowa:

— Kiedyśmy naonczas z wojewodą poznańskim do Warszawy jechali, dwór cały poszedł przodem, iżby na nas w Pyzdrach noclegiem cze-

kać: — mnie jeno pan wojewoda w swojej kolasię zatrzymał, mieliśmy bowiem niespodzianie odwiedzić po drodze brata matki twojej pana Boleszę, którego pan wojewoda serdecznie miłował; — aliści w Srodzie zawiadomił nas pan Krzycki, że Bolesza dniem pierwej do stolicy się udał, — zaczęm upraszał, abyśmy u niego obiadek szlachecki spożyli. Ale, że u pana Krzyckiego nie po szlachecku, ino po pańsku było, więc zmierzch już zapadł, gdy pan wojewoda, wyprosiwszy się od ostatniego kielicha, w dalszą się puścił podróż.

Z mocnego drzemania zbudził nas hajduk Piotrowski nie bardzo miłym doniesieniem, żeśmy zabłądzili. Pan wojewoda, któren miał wiele przenikliwości, obejrzał się po lesie, miarkował się po gwiazdach i kazał jechać drożyną na prawo, mówiąc: Leszczyńscy na lewo nigdy nie jeżdżą. — I Bóg myśl dobrą przyjął łaskawie, bośmy za chwilę karczmę nad polem ujrzeni, pełno jasności w oknach mającą. Wybiegł do nas żydek z rudą brodą, w czarnym łapserdaku i nizko się kłaniając, zapraszał na nocleg.

— Daleko stąd do Pyzdr?

— Tak daleko jak do Środy — jedna droga, dobrymi końmi za 4 godziny dojedzie, ale najgorzej, że jest mylne jechanie.

— Ha! cóż począć, trudno po nocy biesów gonić! nocujmy panie bracie — rzekł wojewoda, — a jam na to chętnie przystałem, bo mnie za katy sen morzył.

W izbie karczemnej był jakiś wojskowy graf saski, — na piernalach spał już na dobre Niemiec.



ale jego kalwakata, składająca się po większej części z szlachty Mazurów, osiadła dokoła piec i komin a popijając miodek niezgorszego zapachu, z cicha gwarzyli. — Proszę waszmość panów braci, zrobić nieco miejsca dla pana wojewody poznańskiego — do najbliższych moją mowę obróciłem; — lecz owe capy nietylko że się z miejsca nie ruszyły, ale jeden z nich rubasznym głosem odpowiedział: »Pan poznański usiadł się w podróży, a że i młody <sup>1)</sup>, może się też trochę i po izbie przechodzić«, — i całą chmarą rozśmiali się na głos, aż się niemiecki graf obudził. Spojrzałem się na kord i byłbym ich, mospanie, niebawem *mores* nauczył, ale pomiarkował wojewoda moje chcenie, bo schwycając mnie za rękę, szepnął mi na ucho: »Daj waszmość pokój: nie przystałoby dla mnie, abym po karczmach wojował«. Korciło mnie straszliwie, że się te drwale rozsiadły przed ogniem, a zdałoby się panu wojewodzie ogrzać, bo go wiatr mroźny po nosie i po uszach srodze otrzepał; co do mnie, twardszego lica, anim pamiętał, że Gumprecht w Poznaniu 20 stopni mrozu oznajmił. — Przecież ja was tu zażyję, — pomyślałem sobie, — niepróżno Jezuici zwali mnie figlarzem; zagadałem więc do arendarza. — Masz żydku jaja?

— Mam, jaśnie panie.

<sup>1)</sup> Leszczyński w młodym bardzo wieku został wojewodą, o co się szpakowata szlachta mocno sierzyla, mawiając: »A toćże jemu do szkół jeszcze chodzić«. Stanisław Leszczyński urodził się we Lwowie 20 października 1677 r. Wskutek zgorzałych na nim sukien umarł w r. 1766, 21 lutego, mając lat 89.

— A będzie ich kupa?

— Będzie dwa mędle.

— Owóż tedy wbijesz je na słoninę i zaniesiesz dla naszych koni.

— Dla koni?

— A przecież nie dla psów, bo psiarni za sobą nie prowadzimy.

— Bez urazy jw. pana, to pańskie konie jankami się popasają?

— Czyś, żydzie, nie słyszał, że perskim ogierom należy przed owsem dać świeżych jaj na słoninę wbitych?

— Przyznam się jw. panu, że, jak żywie, o tem nie slyszałem; — ale ja nie mam słoniny.

— A to weź gęziej łustości. — Mazury wywalili na wierzch oczy, jakby mnie niemi pożreć chcieli: skoczyło, mosanie, kilku do stajni, za nimi drudzy i w mgnieniu oka żaden się w izbie nie został.

Wtedy rozpostarłszy obszerną burkę dla wojewody, zrobiłem mu wygodne i przyzwoite siedzenie przy piecu, sam przy kominie doglądałem żydówki, iżby porządnie jaja usmażyła, co też i niewiele czasu zabrało.

— Ojczel! a masztalerze nie powiedzieli Mazurrom, że konie pana wojewody jaj nie jedzą?

— Nie powiedzieli, bom pierwaj Piotrowskiego pouczył, co czynić mają, jak się do stajni Mazury zbiegną. Ale tymczasem tedy mówiac dalej — wyniosła żydówka do stajni na cynowym półmisku owe smażone jaja. Mazury otoczyli żłób, żydowięta powlazily na drabiny, aby się lepiej przyglądać mogły, arendarz dwie latarnie zapalił i już zmęczone

konie mieli jajami częstować, gdy się któremuś z nich przypomniało, aby na to widowisko i saskiego grafa zawezwać.

Zawiadomiony o tem Niemiec nie chciał wierzyc iżby konie smażone jaja jeść miały; ale gdy mu się starszy Mazur na Matkę Częstochowską zaklął, że istotnie konie wojewody jaja jeść będą, podniósł się pan graf z leżenia, włożył na się watowany tołubek, na nogi wycięte u pięty trzewiczki, głowę otulił białym bawelnianym woreczkiem, na którego śpiczastym końcu maleńki sterczał kutąsik, — u Niemców mosanie, nazywają takie nagłowie *szlafmyc*<sup>1)</sup> — i tak wystrojony poszedł także na widowisko.

Pan wojewoda śmiał się do woli lecz razem straszyl mnie, że skoro Mazury do izby powrócą, zły koniec będzie. Gdy się wojewody o radę pytam, jakąby obronę na zarzuty zwiedzionych Mazurów stawić, ukazał się Piotrowski z płaczem, że konie zapewne z przepędzenia zachorowały, bo jaj jeść nie chcą. Powrócili i widzowie, utyskując nad słabością koni a bardziej nad tem, że oglądania niesłyszanej osobliwości pozbawieni zostali. I dopiero gdym ja oną jajecznicę zmiótł z półmiska, wąsy otarł i roześmiał się, pan graf wyrzekł: »Filuta szlachcic poznański«. — Panie bracie! Że my głupcy, to my głupcy! — ozwał się starszy Mazur, — począł mi się z podełba przypatrywać i już

<sup>1)</sup> Nasi naddziadowie nie znali ani szlafroków, ani pantofli, ani szlafmyc, dlatego to dziadek mojej matki tak obszernie szlafmycę opisywał.

się zbierał do groźnej odezwy, gdy pan wojewoda na arendarza zawołał: »Żydku! dać tu 6 garncy miodu dla panów braci szlachty!« — zdejmując zaś z serdecznego palca ten oto sygnet, powiedział: — »A to, waszmość pan, żeś udatnym fortem honor młodego wojewody utrzymał, na pamiątkę życzliwym dla mnie afektem przyjąć zechcesz«.

Dano smacznego miodu, wypili wszyscy w braterskiem kole za zdrowie pana poznańskiego wojewody i w świętej zgodzie udaliśmy się na spoczynek.



BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH.

92. Kondratowicz L. Kęs chleba . . . . .
93. — Jan Dęboróg . . . . .
94. — Trzełowe. — Spowiedź pana Korsaka . . . . .
95. — Wielki czwartek . . . . .
96. Asnyk Adam. Wybór poezyi . . . . .
97. Ujejski K. Wybór poezyi . . . . .
98. Pol Wincenty. Pieśń o ziemi naszej . . . . .
99. Wasiliewski Edm. Wybór poezyi . . . . .
100. Zaleski J. B. Wybór poezyi . . . . .
101. Chrzczanowski Ign. Za co powinniśmy kochać Pana Tadeusza. Wyd. 2-gie . . . . .
102. Krasiecki Ign. Bajki i przypowieści. Wybór . . . . .
103. Tetmajer K. Wybór poezyi . . . . .
104. Kasprzewicz Jan. Wybór poezyi . . . . .
105. Niemcewicz J. U. Wybór poezyi . . . . .
106. Morawski-Dzierżykraj Fr. Bajki. Wybór . . . . .
107. Romanowski M. Wybór poezyi . . . . .
108. Brodziński K. Wybór poezyi . . . . .
109. Pol W. Wybór poezyi . . . . .
110. Żmichowska M. Wybór poezyi . . . . .
111. Or-Oł. Wybór poezyi . . . . .
112. Redoś M. Satyry. Wybór . . . . .
113. Morawski Fr. Wizyta w sąsiedztwo. Listy poetyckie . . . . .
114. Zaleski B. Pieśni góralskie serbskie. — Car Łazarz, czyli bój Kossowski . . . . .
115. Zieliński Gustaw. Kirgiz . . . . .
116. Pol Wincenty. Przygody młodości Imci Pana Benedykta Winnickiego I. . . . .
117. Orzeszkowa Eliza. Bracia . . . . .
118. Orzeszkowa Eliza. Światło w ruinach . . . . .
119. Kubala L. dr. Mieszczanin polski z XVII w. . . . .
120. — Oblężenie Lwowa w r. 1648 . . . . .
121. Kubala L. dr. Bitwa pod Beresteckiem . . . . .
122. — Oblężenie Zbaraża i pokój pod Zborowem . . . . .
123. Szajnocha Karol. Wnuka króla Jana . . . . .
124. — Barbara Radziwiłłówna . . . . .
125. Szajnocha Karol. Zdobyte pługa polskiego. — Brody Krzyżackie . . . . .
126. — Zwycięstwo pod Lwowem w r. 1676. Trynitarze . . . . .
127. Mickiewicz Adam. Ballady . . . . .
128. — Bajki i powiastki . . . . .
129. — Liryki. — Sonety Krymskie . . . . .
130. Stewanski Jul. Ojciec zadumionych. — W Szwajcaryi . . . . .
131. — Jan Bielecki. — Arab. — Mnich . . . . .
132. — Mindowe . . . . .
133. — Złota czaszka . . . . .
134. — Marya Stuart . . . . .



## BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH.

135. Orzeszkowa E. Daleko. — Karyery . . . . .
136. — Śmierć domu . . . . .
137. — Debra pani . . . . .
138. — Panna Róża . . . . .
139. Rodziewicz M. Rupiecie . . . . .
140. — Kamienie. — Ciotka. — Wpisany do heroldyi . . . . .
141. Konopnicka M. Z Liryk i obrazków . . . . .
142. Niemcewicz J. U. Śpiewy historyczne . . . . .
143. Mickiewicz A. Sonety Krymskie. — Farys . . . . .
144. Krasński Z. Liryki. (Wybór) . . . . .
145. Brodziński K. Wiesław . . . . .
146. Kondratowicz L. Szkolne czasy . . . . .
147. Słowacki J. Liryki. (Wybór) . . . . .
148. Malczewski A. Marya . . . . .
149. Fredro A. Pan Geldhab . . . . .
150. — Zemsta za mur graniczny . . . . .
151. — Śluby panieńskie . . . . .
152. Karpiński Fr. Wybór poezyi. Książnin D. Wybór poezyi . . . . .
153. Korzeniowski J. Mnich. Tragedya . . . . .
154. Krasicki I. Satyry i listy . . . . .
155. Naruszewicz A. Satyry . . . . .
156. Słowacki J. Książę Niezłomny . . . . .
157. Schiller F. Wilhelm Tell . . . . .
158. — Dziewica orleańska . . . . .
159. Byron. Giaur . . . . .
160. Schiller F. Marya Stuart . . . . .
161. Byron. Manfred . . . . .
162. — Więzień Czylonu . . . . .
163. Szymański A. Stolarz Kowalski . . . . .
164. Słowacki J. Anelli . . . . .
165. Krasński Z. Przedświt . . . . .
166. Mickiewicz A. Konrad Wallenrod . . . . .
167. — Grażyna . . . . .
168. Szekspir W. Sen nocy letniej . . . . .
169. Świętochowski A. Hymn niemych. — Woły . . . . .
170. Dynowska M. Obrazy z dziejów piśmiennictwa polskiego . . . . .
171. Szekspir W. Hamlet . . . . .
172. — Makbet . . . . .
173. — Romeo i Julia . . . . .
174. — Król Lir . . . . .
175. — Otello . . . . .
176. Mościcki H. Wernyhora . . . . .
177. Czartoryski A. K. Katechizm ryceraki . . . . .
178. Ustawa rządowa z d. 3 maja 1791 r. . . . .
179. Katechizm narodowy z 1791 r. . . . .
180. Reymont St. Z ziemi chełmskiej . . . . .
181. Prus B. Omyłka . . . . .
182. Romanowski M. Liryki . . . . .